

POD ZNAKIEM FALENIA I SPRZĄGLI

Wyprawa pod kryptonimem „Koral” była trzecim polskim rejssem oceanicznym po wojnie, a siódmym od zarania dziejów (nie licząc Jana z Kolna). Pasja żeglarska udatnie powiązana została z naukowym celem - zdobyciem okazów fauny mórz południowych. Rejs odbył się w 1960 roku.

Bolestaw K. Kowalski

WAdenie, po starannym upakowaniu wszystkich ruchomości w miejscu przewidzianym przez konstruktorów na bączek uszłała się spora górka różnych skrzynek, beczek, balonów z formaliną i blaszanych baniek na zbiory. Do wewnątrz jachtu nie mieściło się już nic, w żaden sposób. Więc zręcznie obudowaliśmy to wszyst-

kokantówką, przykryliśmy płótnem żaglowym i nawet nie rzuciło się w oczy.

Ale bączek pozostał na wodzie i też nie próżny. Nawet w najsmielszych snach nie przypuszczając, co nas czeka, założyliśmy oprócz faleń, który darzyliśmy pełnym zaufaniem - ot tak, na wszelki wypadek jeszcze luźną cumkę.

Morze Czerwone w tej porze roku, tzn. zimą, nie należy do spokojnych. Po wyjściu z Assab powitał nas na morzu wiatr SE o sile siedmiu stopni. Ciężka, męcząca pogoda towarzyszyła nam prawie przez całą drogę do Massaua. Wysoka fala podnosi się tu szybko, jest krótka i stroma. Dla jednostek wielkości *DARU OPOLA* - bardzo uciążliwa.



W zimowe noce przy 20°C sternik marznie. Steruje „Spyros”, czyli Knabe

W powojennych latach Instytut Zoologii Uniwersytetu Warszawskiego odczuwał brak preparatów fauny mórz południowych. Toteż zgodził się sfinansować rejs *DARU OPOLA* na bogate w faunę Morze Czerwone, pod warunkiem pozyskania przez żagłogę odpowiednich zbiorów. Udało się przełamać opór władz państwowych. Pomyślny przebieg wyprawy i zadowolenie z jej wyników - jakbyśmy dziś to określili - sponsora niewątpliwie nieco bardziej jeszcze odchyliły wówczas nasze wrota na oceany.

Ale do fali przywykliśmy. Tak jak przywykliśmy, że szyte słabymi nićmi bawełniane żagle prują się monotennie. Głupstwo też, że wysiadła elektrownia - mamy naftę (do obowiązkowego wyposażenia jachtu należał wówczas zapasowy komplet naftowych świateł pozycyjnych, no i bańka śmierdząca w całym wnętrzu nafty). Ale faleń... Faleń to było słowo magiczne. Nie trzeba było ogłaszać alarmu. O każdej porze dnia i nocy okrzyk „faleń!” bez żadnych dodatków i ozdobników niezawodnie wyrzucał na pokład nie tylko śpiącą i nietykającą nadwachtę, ale i koka.

Więc tak do rana na zmianę. Raz faleń, raz cumka. Zaraz po obiedzie obydwie. Rozumiecie? I cumka, i faleń. Wysokie fale tak silnie miotają przewróconym do góry dnem bączkiem, że boję się rozbicia o kadłub jachtu i nie ryzykuję podejścia. Mimo ciężkich warunków wysyłam do bąka wplaw Spyrusa. Ma przywiązać nową cumę i nowy faleń. Idzie oczywiście z linką, która go wprawdzie ubezpiecza, ale też bardzo utrudnia pracę i nurkowanie.

Pozostali na pokładzie z napięciem śledzimy jego zmagania z falą i bączkiem. Na szczęście woda jest czysta i ciepła. W pewnym momencie rzucony falą bączek zbliża się na dwa-trzy metry do jachtu. Z przerażeniem spostrzegamy kilka rekinów pływających wokół zajętego pracą Knabego. Są to niewielkie sztuki, tak około półtora metra każdy, niemniej krążą niebezpiecznie blisko pływaka ocierając się prawie o jego upłetwione nogi. Gwałtownie wzywamy go do powrotu na jacht. Nie zwraca na nas uwagi, kończy pracę i nie zdając sobie sprawy z towarzystwa drapieźników, spokojnie podpływa do burty. Na pokład wciągamy go bardzo szybko.

Teraz wszyscy ciągniemy za faleń i cumę. Chodzi o to, żeby bączka podciągnąć do burty, ostrożnie, ale stanowczo odwrócić dnem do dołu i wyczerpać wodę. Sztuka polega na tym, żeby przy okazji nie



No, bączek - nasza udreka - znów gotowy do użycia



„Żożo” Kowalkowski i „Kum” Baniewicz.

rozbić bąka o jacht i nie połamać relingu.

Wiatr przysiadł do czterech stopni i zadowolony z siebie oraz z dokonanego dzieła idziemy na kolację. Piękny nowy faleń ciągnący równo za rufą nasz śliczny bączek napawa nas dumą.

Aliści na etapie pokolacyjnego dłubania w zębach znów... co tu dużo mówić... faleń!. Tego dnia przeznaczenie wskazało na nas swoim palcem około dziesiątej rano. I tak już wskazywało do chwili nocnego już wciągnięcia bąka na pokład i zamocowania

go tam na amen. Trudno. Musiał się na pokładzie zmieścić jeszcze i on.

Przeptywamy przez wielką ławicę małych galaretowatych zwierzątek. Są to sprzągle, czyli *Salpae*. Oczywiście zoologowie dostają natychmiast gorączki. Przewracają do góry nogami starrannie zasztauowane bagaże w poszukiwaniu najbardziej odpowiedniej siatki z czegoś w rodzaj tiulu. Chwytana przez nich galareta jest dość rzadka i łatwo rozpada się na kawałki mniejsze niż potrzeba. Z zęb wydobycją puszek.



Wyciągnięcie pływaka na pokład nie jest sztuką łatwą. Od prawej „Kum” Baniewicz, „Żożo”, „Stary Człowiek” Lisiecki ciągną solidarnie „Amorka” Jakubowskiego.



Na zdjęciu od lewej „Amorek”, autor i „Spyros”

- Nie te, tamte. Mniejsze, I jeszcze ta. Jest w niej formalina. Ale nie ta! Tu jest trzydziestoprocentowa. O, o, o ta! **B**ałagan jak sto diabłów. Każdy klnie. Wszyscy się śpieszą i przeszkadzają sobie wzajemnie. Ostatecznie jednak kilka pełnych, odpowiednio oznakowanych baniek wędruje na samo dno żęzy. To jednak jest coś. Stopniowo nawet wraca porządek.

W Massaua na wszystkich statkach w porcie podniesiona gala. Podnosimy ją więc i my i spieszymy zasięgnąć języka w sprawie rodza-

ju uroczystości, by nie popełnić jakiejś gafy.

Cesarz!!! To wyjaśnia wszystko. Od razu wiadomo, dlaczego kapitanat portu zamknięty. Dlaczego nie ma immigration ani celników. Po prostu nikt nie pracuje. Z konieczności odkładamy do lepszych czasów staranie się o pozwolenie na prace w rejonie Archipelagu Dahlak i pędzimy zobaczyć na własne oczy Lwa Judy.

Miłe stare miasteczko świętuje. Tłum kolorowych elegantów, rozszczebiotane gromadki wesołych

ciemnoskórych prostytutek. Unosząca się w wąskich uliczkach specyficzna woń miast południa...

Oczekując na zakończenie uroczystości związanych z pobytom Króla Królów i Lwa Lwów, czyli Cesarza Abisynii, Haile Selassie, spędzamy w Massaua trzy dni. Po jego wyjeździe bez większych trudności otrzymujemy pozwolenie na prace w Archipelagu, ale nasze paszporty policja zatrzymuje.

O Archipelagu wiemy tyle co zoologowie zdołali wynaleźć w skąpej literaturze fachowej. Informacje locji nie były gromadzone z myślą o jachtach. Jedynym poważniejszym przewodnikiem okazuje się stara mapa włoska jeszcze sprzed inwazji Mussoliniego. Tę mapę pożyczył nam *narkhuda*, czyli szyper jednej z miejscowych żaglowych łodzi *dhow*, z którym zaprzyjaźniliśmy się w czasie pobytu na Massaua.

Pomiędzy rafy i wysepki Wielkiego Archipelagu Dahlak wchodzimy rano. Pogoda świetna. Widzialność doskonała. Mimo to z trudem odnajdujemy podane na mapie znaki - a to rozsypujący się kopczyk kamieni, a to szczególnego kształtu wysepka.

W południe naturalnym wąskim kanałem wchodzimy do Ghubbet Mus Nefit. Na wzgórku grupka wyspiarzy podnosi długą żerdź z banderą Cesarza. To uwidoczniiony na mapie brakujący nam dotychczas znak nawigacyjny.

Wyszukujemy odpowiednie miejsce i rucamy kotwicę. We trzech z Tomaszem i Żożo, płyniemy bączkiem na wyspę Nokra. Pod stopami skrzypią okruchy muszli i koralowych skał. Naradzamy się. Pójdziemy wprost do wioski. Zgodnie ze zwyczajem trzeba zacząć od złożenia wizyty jakiemuś wójtowi czy innej władzy miejscowej.

Kamienna osada, w której warowna jest każda chata, sprawia wrażenie wymarłej.

W poszukiwaniu człowieka kłuczemy między wysokimi murami zagród. Żadnego śladu życia. Nic. Ani kury, ani psa. Nie widać uprawionej ziemi. Tylko poukładane z kora-

lowych głazów, białawe, martwe mury. Tylko cienie sępów krążących bezgłośnie nad głowami, wprost pod żarem wysokiego słońca. Ci-sza. Mijają minuty, kwadranse.

Za załomem muru zduszone gło-sy i szamotanie. Wypchnięci z za-zbawiennej osłony dwaj starcy w białych szatach zatrzymują się. Przynaglani czymś ostrym głosem ruszają w naszym kierunku. Kroczą powoli, nieśmiało. Podpierają się długimi kosturami. Już z daleka gestem przyjaźni podnoszą trzęsące się ręce. Są wyraźnie strwożeni i nie-pewni. Z bliska okazuje się, że to ślepcy. Nie mają oczu. Jednemu z nich brakuje dłoni. Drżące bezzęb-ne usta, zniekształcone słowa włos-kie, przypominające bardziej jęk niż mowę. Ogarnia nas uczucie litości. Odchodzimy, zostawiając za sobą na wzgórkach dwie, jak dzieci trzymają-ce się za ręce postacie.

Ale jeszcze przez obiadem - naj-wyraźniej ośmieleni naszym za-chowaniem się w stosunku do star-ców - przysli dwaj parlamentariusze. Jeden w australijskim kapeluszu z rondem z jednej strony podgiętym efektownie do góry, drugi - ubrany w drelichową bluzę z teatralną lomet-ką na piersi. Po tych znakach domyś-liliśmy się, że to policjanci.

Są również nieśmiali i niepewni. Starszy, jakby dla dodania sobie po-wagi, od czasu do czasu, bez wido-cznego powodu podnosi do oczu swoją lornetkę. Tym razem rozmowa się udaje. Za pomocą pojedynczych stów włoskich i angielskich, posiłku-jąc się łaciną, zdobywamy kilka infor-macji. Włoska jest jakby przedłuże-niem więzienia. Starcom wytłupiono oczy przed wielu, wielu laty, za jakieś dawno zapomniane winy. Niepodziel-ną władzę nad wyspą Nokra dzierży „serdżante”, który wszystko wie i urzęduje w więzieniu.

Idziemy w głąb wyspy na roz-poznanie. Poza paroma strasznie kolczastymi akacjami - żadnych drzew. Trafiamy na ślady dawno opuszczonych wojennych obozów wojsk włoskich. Zasypane koralo-wym piaskiem bunkry, przeżarte rdzą blachy metalowych beczek, ło-żyska dział.



Doraźny fryzjer pokładowy. „Amorek” strzyże Tomka, dziś profesora Umińskiego.

Odosobniony, najokazalszy dom na wyspie z powiewającą nad dachem flagą... o bogowie, to wła-snie więzienie. Iść tam? Nie pój-dziemy.

Na podstawie mapy typujemy na bazę kilka innych miejsc... Jutro o świcie wypłyniemy i wybierzemy najbardziej odpowiednie, a dzisiaj? Dzisiaj będzie ognisko.

Po kolacji, uzbierawszy kolcza-stych gałęzi i wyrzuconych przez morze zmurszałych desek, rozpa-lamy na brzegu ogień. *DAR OPO-LA* zakotwiczył w Ghubbet Mus Nefit i krzyżami salingów znaczy posypane złotym piaskiem, grana-towe niebo abisyńskiej nocy. Sie-dzimy na gorących jeszcze od dziennego żaru słońca, ostrych głazach wyspy Nokra.

Pijemy wódkę z cynowych kub-ków i śpiewamy obozowe pio-senki. Te same, które śpiewaliśmy na Czarciej Wyspie i nad Odrą, nad brzegiem Wisły i Jastarni.

Na jacht wróciliśmy dopiero po północy. Podpici chłopcy popadali na koje i śpią, a we mnie wstąpił de-mon czynu: - Nie będzie spane.

Niemrawo zbieramy się do odejścia.

Rozwidnia się w samą porę. Wpływamy w cieśninę północną. Spyros spostrzega sterzące gęsto z dna bulwy raf. Ten widok rozpędza

resztki alkoholowej mgiełki i zawra-camy, aby okrążywszy wyspę wyjść cieśniną południową. Czują straszne zmęczenie.

Ze zruconymi żaglami, na wol-nych obrotach silnika ostrożnie la-wirujemy między biejącymi tu i ówdzie rafami. Woda jest bardzo czysta. Wyraźnie widać wyrastają-ce z ciemnozielonej głębi ogromne buły, ławice i bariery.

Wybrana wczoraj z mapy zato-czka okazuje się bardzo od-powiednia. Z trzech stron otoczona skałami Entedebier, z czwartej - stromym brzegiem Nokry W głębi widać plaże i płycizny. Jest wszyst-ko, czego potrzeba żeglarzom dla bezpiecznego postoju i zoologom dla uzupełnienia zbiorów.

Kotwiczymy na głębokości pię-ciu metrów. Tu założymy bazę...

Jesteśmy naprawdę, bez ża-dnych zastrzeżeń - szczęśliwi. Wbrew wszystkim oporom i trudno-ściom dotarliśmy do celu.

Jest poniedziałek, 25 stycznia ty-siąc dziewięćset sześćdziesiątego roku.

Fot. z arch. Bolesława Kowalskiego

DAR OPOLA - dwumasztowy kecz polskiej konstrukcji o powie-rzchni żagli 144 m². Kadłub posyty czteromilimetrową blachą, 18 m dłu-gości.